Nr. 8. Lwów, 19. Listopada 1899. **Serja Wydawnictwa trzecia. Rok XXIII.**

Numer pojedyńczy **20 ct.** z dodatkami.

Tygodnik Narodowy

wychodzi na każdą niedzielę.

Ogłoszenia po 8 ct. od wiersza petitowego. Reklamy po 20 ct. 30 ct. i 50 ct. od wiersza.

Prenumerata w Galicji i w Austro-Węgrzech wynosi z przesełką pocztową: rocznie *8 zł.*, półrocznie *4 zł.*, kwartalnie *2 zł.*, miesięcznie *70 ct.* W Poznańskiem i Niemczech: rocznie *16 marek* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Królestwie Polskiem i Rosji: rocznie *8 rubli* — stosownie na pół roku i na kwartał. We Francji i w innych krajach europejskich: rocznie *20 franków* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Ameryce Stanów Zjednoczonych rocznie: *4 dollary* — stosownie na pół roku i na kwartał. W Brazylji i w innych krajach zaoceanowych: rocznie *25 franków* — stosownie na półroku. Prenumeratę pod adresem Administracji *Tygodnika Narodowego* najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych. Z Ameryki i z Brazylji można przesełać prenumeratę dollarami papierowymi, lub milrejsami w listach rekomendowanych (registré), albo przekazami pocztowymi. Prenumerować można w każdym czasie, bez względu na zaczęty kwartał, lub miesiąc. Numera zaległe z początkiem powieści, lub większych utworów przesełają się natychmiast *bezpłatnie.* Ogłoszenia przyjmuje Administracja, oraz wszelkie biura ogłoszeń miejscowe i zagraniczne. — Prenumeratorowie ***roczni*** otrzymują *co rok bezpłatnie*, jako *premium* nowy *Kalendarz illustrowany* wszechstronnie informujący, obszerny i obfity w treść interesującą.

*Redakcja i Administracja **Tygodnika Narodowego** we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Tygodnik Narodowy znajduje się pod kierunkiem Komitetu wydawniczego i redakcyjnego.

Szanownych Panów prenumeratorów

*zalegających z opłatą, prosimy usilnie o odesłanie przypadających należytości. Zwracamy uwagę, że odebrawszy **ośm** numerow „Tygodnika Narodowego“, można było już pomyśleć o odesłaniu prenumeraty. Przypominamy się więc ponownie i prosimy o łaskawe odesłanie wszelkich zaległych należytości. Narażanie wydawnictwa na stratę, nie da się chyba usprawiedliwić.*

Na dnie rocznicy Szopena.

(*Preludjum*).

Kołyszą się drzewa,
Chyląc złotą skroń,
Sypie się ulewa
Liści w stawu toń;

I staw się kołysze
Wśród jesiennej mgły —
Taką senną ciszę
W piersi masz—i ty...

*

Zaszumiały drzewa,
Szumią w długi chór,
A w twej piersi śpiewa
Ech posępny wtór;

Coś tam łka, coś wzdycha,
I szeleszczą łzy —
Choć szum drzew przycicha,
Echem jesteś — ty!...

Bożydar.

Po wyroku.

Nie ulega wątpliwości, że u nas na ziemiach polskich pod trzema zaborami, od rozbioru, z wyjątkiem oczywiście, procesów politycznych, bo te są i pozostaną naszą chwałą i stwierdzeniem żywotności narodu, nie było sprawy, którąby tak zainteresowała całe społeczeństwo polskie. Nie dość, nawet, że zainteresowała, lecz obudziła namiętności i antagonizmy polityczne tak zresztą nienaturalnie pomięszane i grupujące się, że stanowi to konglomeraty *ad hoc*. Dość bliżej przyjrzeć się codziennej naszej prasie galicyjskiej — jej polemice, zapatrywaniom na czyny obwinionych i wreszcie na werdykt, aby się przekonać, jak się wypadkowo, ale charakterystycznie szeregowało dziennikarstwo w sprawie galicyjskiej Kasy Oszczędności. O warszawskiej prasie nie mówimy, bo ta w wielu wypadkach, nie mogąc pod względem politycznym wypowiedzieć jasno swego zapatrywania milczy, zbywa czytelników banalnymi ogólnikami, co też jest zrozumiałe, lub odznacza się grubą nieznajomością osobistych i publicznych stosunków w Galicji, co jest znowu mniej zrozumiałe, bo tamtejsi dziennikarze mogą gdzieindziej i z dobrych źródeł pouczyć się, co się tu dzieje i jak się dzieje, a nie ferować o nas wyroków na podstawie informacyj, zasiągniętych na deptakach w Krynicy i w Zakopanem ..

Poza sądami dziennikarskimi, przypatrując się pilnie, uważnie, bezstronnie wszelkim objawom i postarawszy się o odpowiednie informacje z rozmaitych kątów kraju, stwierdzić musimy, że wyrok, a właściwie werdykt w sprawie gal. Kasy Oszczędności, w ogóle, wywarł na opinji publicznej niekorzystne wrażenie i ci, którzy sądzą przeciwnie, grubo się mylą...

Zaprzeczyć się nie da, że pewien odłam naszego dziennikarstwa, zbyt zawzięcie rzuca kamieniami bezwzględnego potępienia — ale w opinji publicznej zapatrywania te nie są odosobnione, a nawet w pewnym kierunku nacisk tej opinji, wyrażający się w przeróżnych formach i chodzący rozmaitemi drogami i ścieżynami, odbić się musiał na dziennikarstwie.

Sprawa Kasy Oszczędności poruszyła i jeszcze porusza wszystkich, od suteryny biednego stróża, aż do salonów właściciela kamienicy, od chaty chłopskiej, aż do dworu, albo pałacu — toż nie dziw, że w opinji kotłuje się — a mimo tej zawieruchy, dominuje w niej nuta jakiejś skargi gorzkiej, bolesnego oburzenia i przygnębienia... Co tam wrogowie nasi za granicą o nas mówią i mówić będą, to mniejsza — oni są od tego, aby nas zwalczać wszędzie i zawsze, ale, co my sami, musimy o sobie powiedzieć, to jest boleśniejsze nadewszystko...

Zapewne, że w tak nazwanem pospólstwie o bajki i przesądy nie trudno — mają one, jednak, nie raz wyraz charakterystyczny i choć są z gruntu nieprawdziwe, jako fakta, jednak dowodzą czegoś...

Proszę dziś wytłomaczyć np. temu »pospólstwu« we Lwowie i w całym kraju, że nieprawdą jest, iż Zima żyje, mieszka w Londynie, robi interesa i teraz pojedzie do niego Szczepanowski... Anegdoty te płyną po całym kraju, znajdują nawet przystęp na prowincji do kół inteligentniejszych — to, oczywiście są bajdy przeciw którym, jako takim argumentować nie można — ale samo ich istnienie i uporczywe utrzymywanie się, nie tylko jest charakterystyczne, ale dowodzi pewnej bulwersacji w mózgu i sumieniu tego »pospólstwa«, a objawy uwidoczniają się w formach, które rysuje niewiara z samej sytuacji...



Dr. Ludwik Rydygier,
profesor chirurgji na wydziale medycznym uniwersytetu lwowskiego.

W kołach prawniczych utrzymują i popierają to całym zasobem argumentów, że samo oskarżenie było budowane na gruncie po części fałszywym, po części nieodpowiednim i, że w skutek tego rezultat nie mógł być inny, jak wypadł — zresztą, śmierć Zimy przyczyniła się poniekąd do tego, co się stało.

Sprawa, tedy, niby zakończona — a jednak, zdaniem naszem, daleko jeszcze jej do końca... Zanim odbolejemy jej rezultaty, zanim uspokoją się namiętności, zanim inne fakta i twarde życie okryje wszystko skrzydłami rzeczywistości — długo, bardzo długo własnemi ustami będziemy ssać swoje rany, dopóki się nie zabliźnią...

Moja ciotunia.

Opowiadanie.

Moi rodzice mieszkali w Warszawie, w staromiejskiej dzielnicy. Miałem wtedy lat blizko siedm i nie zdawałem sobie sprawy, że mieszkanko nasze było więcej, niż skromne. Składało się ono z trzech niewielkich pokoików i kuchni, do czego ja dołączałem jeszcze wązkie i ciasne podwórze, miejsce moich częstych wycieczek i zabaw z rówieśnikami. Ci rówieśnicy mieścili się w mieszkankach o dwóch, lub jednym pokoju, uchodziłem więc wśród nich za „panicza“. Zresztą, wyobrażałem sobie i tak, że bogactwo moich rodziców — jest niewyczerpane. Czyż nie kupowali mi cukierków i ciastek? Czyż nie mieliśmy firanek w oknach, kanapy, obitej czerwonym, trochę już wytartym pluszem i wspaniałego zegara pod lustrem? Ten zegar szczególnie działał mi na imiginację. Był to, jakiem się później dowiedział, stary antyk, ale mnie obchodził przedewszystkiem siwy brodacz z kosą, siedzący z klepsydrą nad błyszczącym cyferblatem. Przyglądałem mu się też zawsze, z nigdy nie słabnącą ciekawością.

Ojca mego przez pół dnia nie bywało w domu. Kiedy wracał, zasiadał po obiedzie przed prostem czarnem biurkiem nad papierami i siadywał do późnej nocy. Ba, takiemu starszemu człowiekowi to wszystko wolno! Kiedy mnie, mimo lamentów, matka zapędzała już po ósmej do łożka, ojcu wolno było siedzieć przy lampie, dopóki chciał. Nieraz, przespawszy już dobrych kilka godzin, budziłem się w nocy, kiedy cisza panowała w mieszkaniu i zegar tylko cykał monotonnie, a wtedy jeszcze spostrzegałem złotą linię u spodu drzwi od pokoju ojca, a długi świetlny promień biegł ku mnie z dziurki od klucza. Tam ojciec siedział zgięty nad biurkiem i „bawił się“ przy lampie skrobaniem po papierze...

Matka miała także sporo „zabawy“. Bawiła się od rana w kuchni i około gospodarstwa, poświęcając resztę czasu swemu jedynakowi, to jest mnie, stanowiącemu dla niej cały świat w zwykłej samotności. Bo rodzice moi żyli samotnie i nie składali, ani nie odbierali wizyt.

Ach, prawda! bywały czasem wizyty i te nawet utkwiły mi silnie w pamięci. Wizyty te powtarzały się co pewien czas systematycznie. Przychodził naprzykład „pan rządca“, którego znałem dobrze, albowiem nieraz przywracał porządek na podwórzu, gdyśmy się zanadto rozbisurmanili. Rządcę najczęściej przyjmowała matka i widocznie na podobieństwo tego, jak mnie uczyła „grzeczności“, jego musiała uczyć „cierpliwości“. Ten wyraz mianowicie najczęściej słyszałem w rozmowie.

A „pan rządca“ musiał być bardzo niecierpliwy, gdyż raz nawet Jasiek od stróża powiedział mi, że „pan rządca każe was wyrzucić z mieszkania“... Ale do tego nie przyszło

Inne wizyty miały odmienny charakter. Od czasu do czasu przychodzili żydzi, których również przyjmowała matka. Szwargotali oni całkiem dla mnie nie zrozumiale: mówili o „terminach“, utyskiwali na „zwłoki“ i mówili o sądzie, tudzież i o „łycytacje“. Matka i ich także uczyła cierpliwości, ale czy goście byli mało pojętni i również niecierpliwi, dość, że matkę widziałem potem często zapłakaną.

Działy się też wtedy u nas rzeczy niezwykłe. Rodzice byli smutni i rozdrażnieni, tatuś siadywał dłużej nad biurkiem w nocy, obiady stawały się krótsze i znikały z nich wszelkie dla mnie przysmaki, jak naprzykład ciastka i owoce. Potem matka nieraz wychodziła z domu, wynosząc pod okryciem różne zawiniątka i kategorycznie odmawiała mi zabrania z sobą. Wreszcie znikła także i ozdoba naszego mieszkania, mój ulubieniec, zegar z klepsydrą, kosą i brodaczem, a kiedym się wypytywał, co się z nim stało, ojciec się gniewał, a matka szeptała:

— Widzisz, dziecko, zepsuł się i musieliśmy go oddać do naprawy, do zegarmistrza.

— A prędko go zegarmistrz naprawi?

— Za parę miesięcy, moje dziecko.

I było mi wówczas bardzo smutno, dopóki nie nastąpiła jeszcze jedna wizyta, którą witałem z wielką radością.

Matka moja miała starszego brata, wuja Marcina, który mieszkał w Piotrkowie. Był to człowiek poważny i domator widocznie, gdyż rzadko pojawiał się u nas. Pamiętam jego smukłą, wysoką postać, szpilkę błyszczącą w krawacie, opięty surdut i laskę z wyciętym na niej dziadkiem, który na imaginację moją działał na równi z brodaczem z nad zegara.

Twarz miał surową, z siwym zarostem, pomarszczoną i — kolącą (wrażenie to odnosiłem zawsze przy pocałunkach), ale oczy takie dobre, że go się nic nie bałem, choć często krzyczał i zrzędził. Ilekroć np. przyjechał, zawsze mówił do rodziców:

— Rozpieściliście tego gagatka, będzie z niego jedynaczek caca!

A ja tymczasem zabierałem laskę z dziadkiem i hasałem po pokojach w najlepsze. Czyniłem zaś to z uciechy, bo wiedziałem, że przybycie wujaszka Marcina, zawsze zwiastuje szereg zjawisk dobroczynnej natury. Naprzód twarze rodziców, a zwłaszcza matki, wypogadzały się i wyjaśniały, potem przy obiedzie pojawiały się łakocie, dalej, przybywały jakie nowe zabawki dla mnie i sukienki, a nadto ukazywał się tajemniczo zegar ze starcem od — zegarmistrza i ani „pan rządca“, ani inni goście, uczące się od matki cierpliwości, nie dzwonili przez czas pewien do naszego mieszkania. Te wszystkie zjawiska dobroczynne i dodatnie, w mojej wyobraźni tak się skojarzyły z przybyciem wujaszka,

---

Kronika niedzielna.

W sprawie teatru nowego słów kilkoro, oraz z tego powodu, o rozmaitych rzeczach i niektórych innych.

Nareszcie sprawa nowego teatru we Lwowie weszła na porządek dzienny. Z jakiejś chmury, która się przewalała pomiędzy Lwowem, a Krakowem, spadł mały deszczyk i orzeźwił tych paru członków komisji teatralnej, którzy od jednego wymagają ptasiego mleka, a od drugiego, przyjmą margarynę za masło i wmawiać będą w ludzi, że to kuropatwa...

Gdyby to bylo w innych stosunkach — nie takich, jak nasze, specjalnie tu we Lwowie: pomiętoszone różnemi sprawami publicznemi i z których się ulewa ciągle po troszę żółtawa animozja, wykrzywiający poczciwe nawet gęby pesymizm i rozgoryczenie, a nie rzadko takie przygnębienie, że człowiek skryłby się w pierwszą lepszą rurę, co leżą teraz po ulicach, jak olbrzymie kiełbasy nadziane nowym dodatkiem do dodatku podatku czynszowego — gdyby, powtarzam, nie te nasze i takie stosunki, to sprawa dyrekcji nowego teatru, byłaby prosta, jak drut, dopóki ręce ludzkie nie pokrzywią go... Ale, jak człowiek nauczy się chodzić, to potem chce się ślizgać. — Dla rozrywki, dla zabicia czasu, dla zdrowia zresztą — poślizgać się nie zaszkodzi, tylko powinno się zawsze ślizgać na swoich własnych łyżwach, a nie na cudzych... Jest nowy teatr i jest dyrektor dawnego teatru, który przez lat cztery zdawał egzamin publicznie i potrafił wyprowadzić scenę lwowską z takich stosunków że, gdyby dłużej potrwały, to musiałby, kraj rozwinąć nad nimi sanacyjne skrzydła, albo przyszedłby komisarz rządowy... Możeby to, nawet, było i nie źle: taki dyrektor w stosowanym kapeluszu, w pierogu na głowie, z krzyżem zasługi żelaznej korony którejś klasy na piersiach i partyturą operetki: *Jaś płacze, Joasia się śmieje*, w rękach... No, ale losy pozazdrościły nam tej przyjemności, bo zjawił się p. Ludwik Heller, wziął te „stosunki“, chodzące, ma się rozumieć na dwóch nogach za czupryne i w starym teatrze skarbkowskim zapanował porządek, ład. Jakiś duch artystyczny zatrzepotał miłościwemi skrzydłami i scena lwowska poczęła się wzbijać na poziom tych pięknych tradycyj, na którym ją postawiły mądre głowy, zacne serca i trzeźwe umysły...

U nas, jednak, z nowym teatrem zaczęła się ślizgawka... Nic nie szkodzi — wyszło to na zdrowie temu i owemu, a wyjdzie jeszcze nie jednemu... Ostatecznie — nie to piękne, co piękne, lecz to, co się komu podoba — i nie trzeba się nikomu dziwić, że ktoś lubi np. pasternak, bo jak to tam rzymianie gadali: *de gustibus* i tam dalej — więc Hellera można nie lubić, można się z nim kochać, albo czubić — ale, czy tak, czy owak — dwa razy dwa jest cztery... Odgarnąwszy na bok czasy śp. Stanisława Dobrzańskiego — w teatrze skarbkowskim rozsiadła się anarchja z jednej strony, a tak nazwany „używantes“ zakulisowy z drugiej. Czasy Szydłowskiego, Barącza i Przybylskiego zepchnęły scenę lwowską do suteryn, obniżywszy zarazem stronę finansową przedsiębiorstwa jeszcze niżej i zrobiwszy z niego jakiś rodzaj: „chwytaj! łapaj! trzymaj!!!“

Heller sytuację opanował i nie trzeba się silić na argumenta, bo każdy nie uprzedzony i znający się na rzeczy widzi, co jest teraz. a co było, no, i z tego, co jest, wniosek, jak wół jedzie, co może być i co będzie z pewnością...

W naszych stosunkach, kto umie i chce pracować, a wykazuje dodatnie rezultaty z tej pracy, powinien być na każdym kroku popierany — ale są „protektorowie sztuki“, co wolą szpilkowanie takich ludzi i bardzo często przyprowadzają ich do ostateczności...

— Niech was tu siarczyste pioruny!... i hajda gdzieindziej!...

A potem przychodzą niedołęgi, frazesowicze, fabrykanci lukrecji i niebieskich migdałów, albo ludzie nieobliczalni, od których zależy, czy lewą, czy prawą nogą wstaną i zaczyna się jechać z góry na dół... U nas najczęściej odbywają się takie jazdy. Na jakąż to górę zajechaliśmy z Kasą Oszczędności — a w jakim dole teraz siedzimy i kiedy się z niego wygramolimy?...

jak w wyobraźni ludów pierwotnych, n. p. egipcjan, skojarzył się wylew Nilu z żyznością i urodzajem. Nie wiele też brakowało, abym ubóstwił sobie wujaszka Marcina i postawiwszy mu ołtarz w swej dziecięcej główce, nie palił mu kadzideł, jak hojnej w dary Izydzie.

Gdy jednak coraz bardziej nabierałem przeświadczenia o opatrznościowej roli wujaszka, w mojem i moich rodziców życiu, tem więcej kiełkowała mi w mózgu myśl, aby wpływy dobroczynne unieruchomić. Jednem słowem, postanowiłem opatrzność w osobie wujaszka wziąć w niewolę i raz na zawsze z nami zatrzymać.

Kiedy więc raz wujaszek, uczyniwszy jak zawsze pomyślny przewrót w naszem życiu i nacieszywszy się z rodzicami, brał swoją laskę z dziadkiem i wybierał się już na kolej, ja objąwszy go za nogę wyżej kolana — dalej bowiem wzrostem swoim nie sięgałem — wybuchłem wielkim płaczem i oświadczyłem stanowczo:

— Ja nie chcę, żeby wujaszek odjeżdżał, ja nie chcę!

Wujaszek, wobec tego niezwykłego wybuchu moich, jak sądził, uczuć rodzinnych, z początku się zdumiał, a potem chciał mi odpłacić tem samem. Tedy podniósł mnie z ziemi, wziął w swoje objęcia i pokłuł niemiłosiernie swymi wąsami. To mnie jednak bynajmniej nie uspokoiło. Wrzasnąłem w niebogłosy: „Nie chcę, żeby wujaszek odjeżdżał“! — i czepiałem się odzieży pana Marcina.

Wujaszek, wobec mojej stanowczości zaczął paktować ze mną. Najpierw chciał mnie zapewnić, że zaraz wróci, ale nie dałem się osukać.

— Nie pójdzie wujaszek! nie pójdzie!

Potem obiecał mi przywieść cukierków, ale i to się nie na wiele zdało; wreszcie wujaszek zmienił metodę. Pogładził mnie po głowie i powiedział:

— Moje dziecko, nie mogę pozostać, bo coby ciocia Weronisia powiedziała.

Ten argument niespodzianie mnie przekonał. Przedewszystkiem, o cioci pierwszy raz słyszałem i zastałem nią zaskoczony znienacka. Była to dla mnie całkiem nowa osoba, a każda nowość budzi zainteresowanie nietylko u dzieci. Powtóre, istotnie nie umiałem sobie wyobrazić ojca bez matki, a matki bez ojca, dla mnie więc stosunek cioci Weronisi do wujaszka Marcina, przedstawiał się tak samo. Nie wyobrażałem też sobie, co by się stało, gdyby ojciec wyjechał. Zawsze, codziennie przyzwyczaiłem się widywać go o jednej i tej samej porze przy obiedzie, a potem przy biurku. Tylko rano ojciec wychodził. Jeżeli wypadkiem spóźnił się na objad, mama się gniewała. Jakże tam będzie się gniewała ciocia Weronisia za to, że wujaszek aż kilka dni nie był w domu.

To wszystko przeleciało mi przez głowę i umilkłem. Wujaszek, z uśmiechem tryumfu spojrzał się na rodziców, pogładził mnie raz jeszcze po głowie, pożegnał się i odjechał.

Rzecz jednak dziwna. Argument wujaszka nietylko mnie uspokoił, ale zbudził cały świat myśli. Wujaszek był jedynym naszym krewnym, o jakiem słyszałem, a tu naraz przybywa ciocia Weronisia. Zacząłem się jednak zastanawiać, dla czego jej nie widziałem dotąd i dla czego nawet mi o niej nie mówiono. Przecież ciocia Weronisia musi być zapewne równie dobra, jak wujaszek, a może tak dobra, jak moja mama? Dlaczego nas nie odwiedza? A może nie jest wstanie chodzić? Pamiętałem, jak mi opowiadał Franuś od sąsiada krawca, że jego babunia nie może chodzić i siaduje tylko w fotelu, lub leży w łóżku. Ja jej także nigdy nie widziałem, ale jest przecie taka babunia Franusia. A może ciocia Weronisia jest bardzo brzydka, albo bardzo straszna, więc dlatego nie chcą mi jej pokazać? Ale ja się byle czego nie przestraszam. Alboż się boję starca na zegarze, choć ma kosę, lub dziadka na lasce wuja Marcina, choć ma także straszne zęby i takie wielkie wyłupiaste oczy? Nie, ciocia Weronisia nie jest zła i nie jest brzydka, lecz tylko nie może zapewne chodzić i siedzi sobie wciąż na fotelu, a wuja Marcina przysełа do nas.

I zacząłem coraz bardziej rozmyślać nad ciocią Weronisią. Jak też ona wygląda? Chciałem w tej materji zasięgnąć języka od rodziców, ale ci uśmiechali się tylko i mówili, żebym się zapytał wuja Marcina, jak przyjedzie. Ja jednak obszedłem się bez tego. Stworzyłem sobie ciocię Weronisię zupełnie, jakbym ją widział. Miała włosy siwe (jak babunia Franusia), twarz podobną do mojej matki, tylko taką pomarszczoną, jak u wuja Marcina; ubrana była w czepek (powiadał mi o nim Franuś) z ładną żółtą wstążką i miała biały kaftanik jak mama, kiedy kładzie się spać.

I siedziała tak sobie ciocia Weronisia w fotelu, a od czasu do czasu odzywała się tylko do wuja Marcina:

— Jedź do Warszawy i przypilnuj, żeby tam Jaś miał ciasteczka na obiad. A zobacz też, czy zegar jest pod lustrem.

Jakoż wuj Marcin był jeszcze kilka razy u nas i święcie spełniał swój obowiązek. Pytałem go o ciocię Weronisię, a wtedy uśmiechał się pod wąsem i mówił:

— Ciocia kazała ci powiedzieć, abyś był grzeczny i uczył się dobrze, a przezemnie przyszle ci nowe zabawki.

Rosłem tak i, rzeczywiście uczyłem się pilnie z myślą o cieci Weronisi, która stała się dla mnie istotą ukochaną, jako utwór mojej własnej wyobraźni i osobą zawsze pełną tajemniczości.

Nareszcie doszedłem do lat dziesięciu i chodziłem już do szkoły. W życiu moich rodziców zaszły zmiany, jak się zdaje, na lepsze. Zmieniliśmy mieszkanie na obszerniejsze, ojciec mniej siadywał po nocach, a wizyty niepokojące prawie ustały. Wujaszek odwiedzał nas, ale przybycie jego już nie dostarczało mej obserwacji tylu, co dawniej szczegółów. Był on zawsze pożądanym gościem i wnosił pod nasz dach radość, jednakże przewrotów już nie wywoływał. Przywoził mi tylko książki i upominki.

Raz na początku wakacyj, rodzice zapowiedzieli mi wyjazd do Piotrkowa, w odwiedziny do wujaszka. Jakże się serdecznie z tego ucieszyłem. Nęcił mnie pierwszy wyjazd po za mury Warszawy, pierwsza podróż koleją, zobaczenie ukochanego wujaszka i — co przedewszystkiem — tajemniczej cioci Weronisi.

Nadszedł wreszcie dzień oczekiwany. Wyruszyliśmy rano z Warszawy i około godz. 10 stanęliśmy w grodzie trybunalskim.

Wujaszek Marcin zajmował duże mieszkanie, w którem, jak to odrazu spostrzegłem, było daleko ładniej, niż u nas. Dziecięcą moją uwagę zwróciło mnóstwo cacek i drobiazgów, ustawionych systematycznie na etażerkach saloniku, a chłopięcy entuzjazm wybuchnął całą niepohamowaną falą na widok trofeów myśliwskich w sypialni, rogów jelenich, łba dzika i dubeltówek, rozwieszonych na tureckim dywanie.

Mimo to, nie zapomniałem o ciotuni. Skoro też upatrzyłem stosowną chwilę, zbliżyłem się do wujaszka i pocałowawszy go w rękę, z całą powagą chłopca, którego matka przez lata całe ze świętą cierpliwo-

---

Ktoś tam palnął nadęty frazes, że dyrektor teatru nie powinien myśleć o zyskach. To frazes z tego glinianego dzbanka „patrjotycznego“, który już dawno powinno się było trzasnąć o ziemię... Godziwy zysk z uczciwej i zbożnej pracy, bogacenie się jednostek na materjalnej drodze, rozszerzanie dobrobytu we wszelkich możliwych kierunkach — to jest podstawą zdrowego rozwoju ekonomicznego, a ten całą siłą przychodzi w pomoc społecznej i politycznej konstytucji narodu.

W gębie patrjotyzm ginie na wargach — w czynie wklinia się w życie, dodaje mu siły, męstwa i odporności...

Pożyteczniejszym jest patrjotą szewc, co robi dobrze buty, mięso goli co dzień, w niedzielę i święto prowadzi rodzinę do teatru, skórą i kopytem, tak obraca, że bogacieje i pogodnie, po bożemu, patrzy na ludzi i życie, aniżeli ci, co piszą liche wiersze i marne sztuki, chociażby ciągle śpiewali: „Jeszcze Polska nie zginęła!..“

Dziwna rzecz! od ludzi pracy zawodowej, ciężkiej, kłopotliwej, wymagającej całego kapitału *ja*, aby w nią włożyć wymagają zazwyczaj poświęcenia filistrzy, którym listek róży złożony na dwoje spać przeszkadza...

Dlaczego to np. marszałek krajowy piastując urząd obywatelski, autonomiczny, albo prezydent miasta Lwowa pobierają pensje? Dlaczego nie poświęcają się? Obydwa przecież są ludzie osobiście majętni: pierwszy jest magnat, drugi, oprócz nieruchomego majątku posiada znaczne dochody z zawodowej adwokatury... Nie poświęcają się, jednak. — Nawet przed laty, za śp. hr. Ludwika Wodzickiego podwyższono dotację marszałka do 10.000 zł., a i uposażenie pana prezydenta poszło w górę.

Ja, bynajmniej, nie mam nic przeciwko temu — jestem przeciwny wszelkim darmochom. Magnat, czy chudeusz, jak co robi pożytecznego, według przyjętego porządku, powinno mu się płacić za to. — Niech sobie robi z tymi pieniędzmi, co chce, niech nawet wyposaża nimi ładne dziewczyny, — więcej z tego będzie pożytku, aniżeli z premiowanych komedyj, na które nikt nie chodzi i z miętowych frazesów. — Społeczeństwo, kolosalna gromada ludzi, niema prawa eksploatować jednostki nigdzie i pod żadnym pozorem, lecz ma obowiązek dostarczyć jej środków do uczciwej i pożytecznej pracy...

Wszystko to prawda — prawda?..

A jednak, dlaczego od marszałka kraju i prezydenta miasta nikt nie wymaga — dodaję z naciskiem: bardzo słusznie — materjalnego poświęcenia — a od dyrektora teatru żądają, aby po scenie chodził w podartych butach i w końcu, aby drapnął z poświęcenia?...

Dlaczego?

Krzywdzic.

ścią uczyła światowej grzeczności, oświadczyłem:

— Wujaszku, ja chciałbym także przywitać ciocię Weronisię. Czy zdrowa?

Pan Marcin spojrzał najpierw na mnie takiemi oczyma, jakby chciał powiedzieć: „Co ten chłopiec gada!", a potem, przypomniawszy coś sobie, wybuchnął głośnym śmiechem.

Na razie nie mogłem pojąć, co się stało. Czyżbym popełnił, jaki nowy błąd przeciw grzeczności, za który będę odpowiadał przed matką?

Tymczasem wuj uspokoił się trochę.

— To ty — mówił, gładząc mnie po głowie — pamiętasz o cioci Weronisi?

Oburzyłem się.

— Ja ciocię bardzo kocham, bo ciocia jest dobra, bardzo dobra, przysełała mi zabawki i książki.

— A prawda! — przyświadczył wujaszek — zapomniałem... Tak, tak! Ale moje dziecko — i tu pan Marcin spoważniał nagle — nie znajdziesz u mnie cioci Weronisi dla tej prostej przyczyny, że ja jej sam nigdy w życiu nie spotkałem, przynajmniej takiej dobrej, takiej bardzo dobrej cioci Weronisi...

— To wujaszek wtedy skłamał?

Popełniłem kardynalny błąd przeciw grzeczności, albowiem dzieci nie powinny nigdy spostrzegać tego, że starsi kłamią, ale stało się. Wujaszek nie obraził się jednak i odparł spokojnie:

— Tak, dziecko, skłamałem wtedy, żeby cię uspokoić..

Jakem się później dowiedział, wujaszek był istotnie starym kawalerem i żadna ciocia Weronisia nie egzystowała nigdy w naszej rodzinie.

A jednak co powiecie? Mnie stało się coś dziwnego. Zaczęło mnie dusić w gardle, powieki mi nabrzmiały i nagle wybuchnąłem serdecznym płaczem.

Dlaczego płakałem? Czy była to tylko zawiedziona ciekawość dziecinna, kaprys malca, który upiera się przy tem, aby mu okazano przyobiecaną zabawkę? Dziś, kiedy to rozważam, widzę, że nie. Była to pierwsza strata, pierwszy ból przy rozstaniu się z ukochaną, choć nie istniejącą istotą. Śmierci nie widziałem dotychczas i sądzę, iż śmierć rzeczywista, realna, zastałaby mnie w tym wieku, mniej przygotowanym do jej odczucia, niż ta śmierć idealna, urojona.

Traciłem istotę ukochaną, stworzoną przez własną wyobraźnię, niby własność moją — i odczułem to wszystko w dziesiątym roku, co później powtórzyło się w wieku dojrzałym przy stracie innych osób ukochanych.

I wśród łez, przypominałem sobie nieraz potem ową ciocię Weronisię w czepeczku, z białymi jak śnieg włosami i twarzą taką dobrą, taką bardzo dobrą...

E. B.

Kredyt włościański
i ubezpieczenia na życie.

Skreślił *J. Swój.*

Że stan włościński, który jest podwaliną gospodarki ekonomiczno społecznej upada materjalnie, jest rzeczą niezbitą. Mówi się też wiele o usunięciu złego, o stworzeniu taniego kredytu dla włościan. I słusznie! Jeżeli bowiem ludowi rolnemu, skazanemu, bądź to na walkę z nędzą o własnych siłach finansowych, czerpanych z nieproduktywnej gospodarki rolnej, — bądź też na szukanie pomocy u wszelkiego rodzaju lichwiarzy, nie podamy sposobu, którymby oczyścić mógł swą posiadłość od gniotącej go lichwy — oczekiwać możemy, w strasznym niestety spokoju, upadku finansowego naszego kraju, który jest prawie wyłącznie krajem rolniczym. Na przemysł nasz nie wiele dzisiaj liczyć możemy. Wielki przemysł u nas prawie nie istnieje, a domowy, śmiało powiem, w kolebce.

Obowiązkiem jest czynników do tego powołanych, ratować rolę i lud do niej przywiązany. Z upadkiem bowiem ludu, spiesznym zbliżać się będzie krokiem ekonomiczna ruina kraju.

Przed kilku zaledwie dniami poruszył pan Stanisław Ostaszewski w »Dzienniku polskim« sprawę t. z. »małego kredytu«. W ślad za nim otworzył »Tygodnik narodowy« łamy swe dla dyskusji w tej sprawie. Miejmy więc nadzieję, że sprawa ta szybko ku urzeczywistnieniu posuwać się będzie, a wnet powstaną w kraju zakłady, które kapitałem swym ludowi z pomocą spieszyć będą.

Przypuśćmy, że zakłady takie już istnieją, że kapitały dotąd uwięzione. przeszły w ręce włościan, którzy zaciągniętych z łatwością pożyczek tanich używają w celach racjonalnej poprawy gospodarstwa rolnego. Włościanin korzystający z taniego kredytu, płaci regularnie w oznaczonych terminach raty amortyzacyjne, podczas tego jednak zaskoczyła go choroba i śmierć bezlitośna wyrwała ojca z pośród rodziny, pozostawiając jej obok roli do podziału, dług nie spłacony.

Dokąd rola pozostaje w rękach zaciągającego pożyczkę, dotąd sprawa idzie gładko. Gdy jednak rola przechodzi w inne ręce, natenczas wikła się, wymaga nowej pożyczki i konwersji długu dawnego. Aby uniknąć tej konieczności, potrzebny jest niezbędnie kapitał na pokrycie resztującej kwoty długu, tak, by spadkobiercy dziedziczyli rolę niezadłużoną.

Zakład kredytowy dostarcza w razie potrzeby gotówki, nie podaje jednak sposobu na doraźne oczyszczenie hipoteki. Jedynym na to środkiem, uznanym już poza granicami naszego kraju, jest łączność zakładów kredytowych z ubezpieczeniami na życie.

W innym znowu wypadku, włościanin zaciągający pożyczkę na hipotekę swej posiadłości starzeje się, niedołężnieje, staje się niezdolnym do pracy, i, czuje się zmuszonym oddać rolę najstarszemu synowi. Syn ten, nietylko że utrzymać musi ojca, który nie jest wstanie oddawać się produktywnej pracy — nietylko, że młodsze rodzeństwo staje się jego ciężarem — ale nadto musi on z dochodów swej pracy umarzać dług przez ojca na rolę zaciągnięty.

Jak w pierwszym, tak i w tym wypadku, przychodzi z pomocą zakład ubezpieczeń na życie.

W obu przewidzianych tu wypadkach, okazuje się koniecznem, by zapewnić wieśniakowi, że nawet, gdy starość, lub śmierć go zaskoczy przed całkowitem umorzeniem zaciągniętego długu hipotecznego, dług ten nie będzie ciężarem dla tych, co po nim obejmą zarząd gospodarstwa. Czyli, innemi słowy: zakład kredytowy powinien udzielać kredytu na podkład policy życiowej.

Ubezpieczenia życiowe, nadające się do tego celu, są trojakie. Zabezpieczenie renty dożywotniej, kapitału pośmiertnego, lub zabezpieczenie kapitału na dożycie, zastosowane być winno do wieku zaciągającego pożyczkę i do czasu, na jaki amortyzacja tejże rozłożoną zostaje.

Przyjąć to musimy za zasadę, że kredyt udzielony wieśniakowi, bezwarunkowo musi być łatwy i tani — to znaczy, że otrzymanie pożyczki nie powinno łączyć się z manipulacją pociągającą za sobą jakiekolwiek wydatki, które wieśniak obecnie ponosi, zanim pożyczkę otrzyma. Postępowanie całe przy udzielaniu pożyczki, oszacowaniu realności i zahipotekowaniu długu powinno się odbywać szybko i również bez kosztów, opłacanych dzisiaj notarjuszom, adwokatom, a wreszcie sądowi w formie licznych stempli i innych kruczków fiskalnych. Amortyzacja długu powinna być rozłożona na jak najdłuższy szereg lat, zastosowana w każdym poszczególnym wypadku do produktowności obdłużyć się mającej ziemi. Stopa procentowa przy tych pożyczkach powinna być jak najniższa. Jeżeli kredyt włościański posiędzie wszystkie wyłuszczone powyżej przymioty; jeżeli wieśniak zaciągnąwszy pożyczkę nie straci znacznej jej części na starania i opłaty; jeżeli raty amortyzacyjne nie będą przekraczać jego siły finansowej — natenczas z łatwością przyjdzie mu opłacać przy każdej racie amortyzacyjnej premję za ubezpienie życiowe.

Tak rodzaj ubezpieczenia, jak wysokość opłacać się mających premji zastosowaną być winna do siły finansowej wieśniaka i do jego wieku; zaś wysokość zabezpieczyć się mającego kapitału, odpowiadać powinna wysokości zaciągniętej pożyczki i planowi amortyzacyjnemu.

Dla wieśniaka młodego, chcącego zaciągnąć pożyczkę na hipotekę roli i równocześnie ubezpieczyć się na życie, odpowiedniem będzie zabezpieczenie kapitału na dożycie. Kombinacja ta da mu możność spłacenia po pewnych latach pozostałego długu, a przy ubezpieczeniu wyższej sumy, także mały kapitalik, który mu się przyda na zaopatrzenie dzieci tych, którym roli dać nie może. Wieśniak starszy wiekiem zabezpieczałby kapitał pośmiertny, który pozostającej rodzinie, dałby możność spłacenia reszty ojcowskiego długu. Renta dożywotnia odpowiada potrzebom wieśniaka, który pragnie, by nie był na starość ciężarem rodziny i posiadł środki do spłaty pożyczki przez siebie zaciągniętej, by po śmierci nie pozostawić tego ciężaru rodzinie.

Pan Ostaszewski pragnie, by rząd dostarczył funduszu na zaspokojenie potrzeb małego kredytu. Ja myślę, że to rzecz daleka i trudna. Starał się to zcesztą wykazać mu pan K. w »Tygodniku narodowym«. Zdaniem mojem jest, że nam nie czas oglądać się na pomoc cudzą, w dalekim planie będącą. Lud stoi nad przepaścią — trzeba nam więc działać szybko, nie oglądając się na pomoc rządu. Gdy się rzecz wyklaruje, ułoży — gdy rząd zechce, a parlament, po wejściu na właściwe tory, pozwoli, drobnemu rolnictwu przyjść z pomocą, będziemy temu radzi. Nim to jednak nastąpi, należy zainicjować, by »Bank krajowy«, »Bank hipoteczny«, »Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń« w Krakowie, pospieszyły z dostarczeniem potrzebnych na ten cel kapitałów, istniejącym już i powstać mogącym spółkom zaliczkowym. Spółki te, w potrzebnej ilości rozsiane po kraju odpowiednio zorganizowane, niech będą szafarkami dostarczonych im na tani procent kapitałów.

Rzeczą konieczną byłoby, by zakłady powołane do rozdawnictwa pożyczek, były jak najtaniej administrowane by zrzekły się prowizji za akwizycje ubezpieczeń życiowych zawieranych w celach pożyczkowych.

Zastanowićby się godziło, czy krakowskie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, przy użyciu własnych kapitałów i przy współdziałaniu innych bogatszych zakładów krajowych, w szczególności zaś Banku krajowego, nie sprostałoby zadaniu. Natenczas przy każdej z istniejących licznych w kraju agencji tego »Towarzystwa«, powstać by mógł filjalny zakład »taniego kreeytu i ubezpieczeń życiowych dla ludu«.

WESOŁY KURJEREK.

Kliny.



Polityka ugodowa z Polakami.

Podróż po kieszeniach.

Humoreska.

...Tak, nie ma co taić, musiałem być wczoraj pijany i to porządnie pijany... Kto nie był nigdy w podobnej sytuacji i kto się czuje bez grzechu, niech rzuci na mnie... butelką. Ala ba! mnie tu istotnie na czole coś swędzi...

Czekajcie tedy państwo, jak się to mogło stać?... Byłem w restauracji... to sobie przypominam: światło, butelki, stół i tam dalej... Od pewnego jednak momentu myśli moje rozpływają się w mgłę, a potem, choć zabij! nic nie pamiętam... Ale to zupełnie nic!...

A jednak, musiało się coś ze mną dziać, nawet musiało się dziać wiele rzeczy zajmujących. Wszystko mi o tem mówi: i mój frak poplamiony, i krawat zmięty, w którym spałem, i ten piekielny ból głowy... Twarz muszę mieć zieloną... brr! Nie ma co mówić! Ładnie się sprawowałem. I to w moim wieku! W trzydziestym szóstym roku życia daję się spoić, jak gołowąs...

Jednakże, tak być nie może! ja muszę się dowiedzieć o wypadkach tej nocy! A gdybym się tak zapytał Jana? O, fe! jeszczeby mi wypadło rumienić się przed służącym. Przenigdy! Zresztą, czegobym się dowiedział? Godziny, kiedym do domu przyszedł, jeżelim *przyszedł* w ogóle?... Potem wysłuchałbym relacji o moim ówczesnym »stanie«... Już sobie ten stan wyobrażam.

Powiadają, że Cuvier z jednej, lub paru kości umiał odbudować nieraz całą bestję przedpotopową, dlaczegóżbym i ja nie miał z drobnych wskazówek odbudować mej egzystencji w ciągu ostatnich 12-tu, lub 15-tu godzin? Ale zkąd wziąć takich wskazówek?... Zkąd ich wziąć?...

Mam! Moje kieszenie!

Od dziecka miałem zwyczaj kłaść w nie każdy świstek. Przetrząśnijmy tedy kieszenie temu złoczyńcy, jakim jest dziś wasz najniższy sługa. Prowadziłeś się jak urwis, kochanku, więc cię potraktuję, jak urwisa. Dalej pokaż kieszenie!

Oczywiście, zacznijmy od rzeczy najgłówniejszej: od portmonetki... Oto ona... Pusta!

Naturalnie!... Jakżeby mogło być inaczej. A miałem wczoraj?... Dalibóg, nie pamiętam! Zresztą, wszystko jedno: było — nie było...

Zrewidujemy inne kieszenie:

Kieszonka prawa kamizelki — wykałaczka, lewa — złamany papieros...

No, to niewiele.

We fraku cygaro i rękawiczki. To jeszcze żadna kość dla przyszłej przedpotopowej bestji.

Pozostaje palto. Jak ono wygląda!... Nie poznałbym, że to moje. Zgniecione, zmięte... Aha, w bocznej kieszeni coś jest.

Rachunek. Barzo dobrze. »Restauracja pod kogutkiem«... Byłem pewny, że to »pod kogutkiem«. Ten »kogutek« to mój kruk, on mi kiedy nieszczęście wykracze. Ciekaw też jestem ogólnej sumy? Jakie oni kulasy stawiają w tej restauracji... Nie dziwota, że się potem zdarzają omyłki... »Razem 82 złr. 47 ct...«

...O, do djabła? To ładna sumka! Musieliśmy chyba pić, jak smoki!

Musieliśmy pić... ale kto? Ilu nas było? Kto tam był? Oczywiście, moi przyjaciele... Ale jacy? Nic nie pamiętam!

Czekajcie państwo! Mam myśl... A gdybym się też przedzierżgnął w jakiego Lecoq'a z romansu Gaboriau i z „menu" odcyfrował osoby? Sprobujmy!

„Majonez z homara". Już mam! Brończo, poczciwy Brończo, on nigdy bez majonezu z homara nie jada kolacji, Jaki ten człowiek ma żołądek!... Zatem — jeden.

Ostrygi — dużo ostryg... To już, ani chybi, był Kazio... On żyje samemi ostrygami. Więc dwóch.

Sałata raz, słata dwa, sałata trzy...

Poznaję go, to Wacek... Jada sałatę, jak wół trawę. No, no!... Ba, ile tu szampańskiego? A likiery i koniak... Stare pijaki!

Widzicie państwo, jak to można z drobnych napozor rzeczy wyciągnąć subtelne wnioski. Stanowczo, mam zakrój na Lecoq'a, Edgara Poe, lub Champiljona... Moje wnioski są murowane.

Oho, a co tu robią w kieszeni fotografje?.. Kobieta? Ależ ja tej osóbki nie znam! A dalibóg ładna! o ładna! Jakie oczy... a te usteczka drobne... a te włosy złociste.. Musi być blondynką i ma włosy z odcieniem złocistym, jestem tego pewny... Zkąd ona się tu wzięła? Aha, coś na drugiej stronie napisane: »Na pamiątkę od Helci« Jakiej Helci! Już „Helci?" .. Czy to nie pomysł tego głupiego Wacka. Wczoraj był właśnie wieczorek u Dansowalskich, czy on nas tam wypadkiem nie zaprowadził? Byłaby piękna historja! Po pijanemu na wieczorku... Winszuję! A przytem, ja mam głupi zwyczaj oświadczać się po pijanemu. Jużem się tak cztery razy oświadczył i potem miałem kłopot z obroną zagrożonego celibatu.

Ale ta mała jest ładna, kaducznie ładna. Ja mogłem się na serjo w niej zakochać. Ja już ją prawie kocham. »Helcia«. Śliczne imię i blondynka, ze złotym odcieniem włosów. Muszę się Wacka zapytać.

A tu co nowego? Bukiecik... To od niej, na pewno od niej, od mojej Helci. A jak ja się jej wczoraj przedstawiłem? Musiałem być śmieszny i miałem zapewne głupią minę. Z pewnością, prawiłem jej oklepane komplementy, a może też mówiłem od rzeczy? A ta poczciwa, złota moja dziewczyna dała mi bukiecik. Niezapominajki rozchylają oczęta, takie modre, jak jej ślepki i mówią: »Nie zapominaj..." O, nie zapomnę cię, Helciu... moja Helciu? Ten pocałunek niech świadczy, że gotów jestem poświęcić dla ciebie nawet moją wolność kawalerską.

...No i patrzcie państwo. Zdawało mi się, że w tej podróży po kieszeniach dotrę do jakiego dramatu, a tu się składa śliczna sielanka. Ktoby się tego spodziewał?

Ale szukajmy dalej. W bocznej kieszeni chustka. Za pozwoleniem, ta chustka nie jest moją. Znak »M P« — nie znam! Jakiś Michał, Mikołaj... stanowczo nie znam. Tego tylko brakowało, żebym po pijanemu zabierał cudze chustki. Tą drogą, mogę się jeszcze dostać do kozy, jako złodziej kieszonkowy. Ej, ustatkuj się, kochanku! wielki czas, abyś się ustatkował... Uczyń to, choćby dla twojej Helci.

W tej kieszeni już nic niema, a tu jakieś bilety wizytowe. Co to jest? „Remigiusz Wyzywajło" i »Gorgoniusz Sekundalski"... Gwałtu, co to znaczy? Pojedynek? Może dwa pojedynki?

Otóż masz! Chciałeś dramatu — masz dramat. Gdzie tam dramat — całą tragedję. A wciąż mi się zdawało, że mnie tu na czole coś swędzi i pali. Co to było? Może tak, jak powiada Krasicki:

„Nie wiem, jak tam kończono zwadę naszą [wielką,
Ale to wiem i czuję, żem wział w łeb bu-[telką..."

Stanowczo, tu jest guz. Była widocznie kłótnia i bijatyka. Już to ja siebie znam. Za guza oddałem zapewne dwa. Ale, z kim ja się sprzeczałem... butelkami? Ci panowie, jak tam ich?... Remigiusz i Gorgoniusz, to nie z naszego kółka. A więc z obcym wszcząłem burdę, Śliczna historja, ani słowa!... Skandal!... Rozgłos... awantura... Bodaj że cię siarczyste!...

Ale tu coś jest napisane w rogu ołówkiem. „Czekamy o godzinie 10, Bielany"... Dobryś! A która teraz godzina? Bodaj cię djabli wzięli, zapomniałem nakręcić zegarka, stoi. Janie która godzina? Dwunasta!

Jestem zgubiony!

Powiedzą, żem tchórz, spiszą protokół, nie będę mógł nigdzie pokazać oczu. Tak być nie może, ja do tego nie dopuszczę. Trzeba biedz, ratować honor. Janie, palto! palto, mówię, gawronie! Aha, przecież trzymam je w ręku... Głowę tracę, zupełnie... Nie mogę trafić do rękawów. jakoś mi ciasno...

Ale... zaraz...! zaraz! To palto... tak... nie mylę się... to palto nie jest moje! Tak, moje palto było jasno piaskowe, a to jest ciemno czekoladowe. Czyjeż u djabła jest to palto? Więc ja rewidowałem nie swoje kieszenie... to były cudze kieszenie.

Hola, w takim razie pojedynek nie jest także moim. Nie jestem wcale szańbionym. Ale ten guz na czole?... Stanowczo mnie coś swędzi... Ba, dowiem się przecież... Możem się o co rozbił.

Za pozwoleniem, ale wnioskując dalej, to i rachunek nie jest mój i chustki nikomu nie zabierałem. Co prawda, jeszcze gorzej, zabrałem cudze palto, ale to ten gawron Walenty „pod kogutkiem," zawsze już od godziny drugiej po północnej śpi... Jak gdyby to było tak bardzo późno! Jednem słowem, nie ma dramatu, nie ma tragedji, jestem uratowany!

...A moja sielanka z blondynką? Bo, oczywiście i fotografia nie jest moja i bukiet niezapominajek nie dla mnie przeznaczony. Szkoda! Szczęśliwy posiadaczu czekoladowego palta, jakże ci zazdroszczę!

Widzę tedy, żem się wczoraj nikomu nie oświadczył. Phi, to i zostanę jeszcze kawalerem!...

B.

Iskierki.

W szkole.

— Gwizdalski, powiedz mi ile minuta ma sekund?

— To zależy, panie psorze. U tatusia ma zwykle 60, a u mamusi, kiedy się ubiera, często 600 i więcej.

— Mamo! jaka jest różnica między operą a operetką?

Operetka widzisz, to jest taka mała opera. Tak samo, jak ja jestem dojrzałą kobietą, a ty małą dziewczynką.

— Tak! Aha, to już wiem, dlaczego w operetkach wszystkie panie chodzą ubrane krótko.

Rachunki.

Wspomnienia starego kawalera.

(Dokończenie. Patrz Nr. 7.)

Ciotka Leontyna była strasznie upartą kobietą i postanowiła mię koniecznie ożynić. W tym celu zawiodła mnie do domu swej przyjaciółki, gdzie miałem ujrzeć przyszłę mą żonę. Było to dziewcze szesnastoletnie, ładne i figlarne. Podobała mi się ogromnie. Wkrótce nawiązała się między nami nić serdecznej sympatji, a rozbudzone nadzieje szczęścia przy boku kochanej kobiety, ożywiły mnie i pobudziły do życia. Panienka była swobodną i nie ukrywała wcale, że mię lubi, więc domyślna ciotka Leontyna, zaczęła widzieć w tym stanie rzeczy nieomylną zapowiedź udania się ułożonego przez nią planu.

— Kubusiu złoty — wołała uradowana, wiele razy znaleźliśmy się sami — ożenisz się kochanie, jak dwa a dwa jest cztery. Panna cię lubi i rodzice są chętni temu związkowi.

Zachęcony sympatją panny i różowemi nadziejami ciotki Leontyny, zdecydowałem się ożenić. Wpierw jednak, postanowiłem porozumieć się z panną. Korzystając więc raz ze sposobności, zapytałem nieśmiało.

— Panno Zosiu, powiedz mi pani, ale tak szczerze, czy naprawdę mię lubisz?

— Ja...? ależ ja pana kocham — i nie namyślając się ani chwili, zawisła swojemi rączętami na mojej szyi.

— I chciałabyś pani zostać moją żoną — pytałem dalej z drżeniem w głosie?

Patrzyła na mnie zdumiona.

— Żoną...? ja pana bardzo kocham, ale...

— Ale cóż...?

— A nie pogniewa się pan na mnie?

— Nie dziecko, nie, mów śmiało.

— Mówił mi Antoś, że pan na męża za stary...

Przypadkiem spojrzałem w lustro i mimowoli się zarumieniłem. To dziecię mówiło prawdę, byłem istotnie starym; ta figlarna mała wyglądała przy mnie, jak kwiat przy suchym badylu...

— A jednak — pytam znowu — dlaczego się nie ożeniłem...?

Pan Jakób oparł głowę na dłoniach i przed oczami jego duszy zarysował się skromny domek sąsiada, pana Andrzeja. Cichy, niepokaźny, wabił do siebie ciepłem szczęścia, jakie zamieszkało pod jego słomianą strzechą. W tym dużym pokoju widzi on wyraźnie, jak w tej chwili, kiedy jego duszę szarpie cierpienie i obawa starości, szczęśliwy pan Andrzej siedzi wesoły przy kominku, otoczony liczną rodziną. Obok żona, wierna towarzyszka jego żywota, podobnie jak w dniach młodości, spogląda na niego z miłością kochającej kobiety i jak niegdyś, radaby i dziś odgadywać w przygasłych oczach męża, smutki i radości — życzenia — myśl każdą. Oboje otacza gromadka dzieci i wnuków i wszyscy oni z wyrazem głębokiej czci patrzą na tę parę, która im świeci przykładem szczęścia i spełnionych obowiązków.

— Ach, cemuż mnie nikt nie kocha, czemuż ja nie jestem szczęśliwy.

W tej chwili, mimo płonącego ognia na kominku, uczuł pan Jakób dziwny chłód na całen ciele. Wstrząsł się, zatarł skostniałe ręce i jakimś gorączkowym ruchem rzucił się do drzwi salonu.

— Wojciechu! — zawołał ochrypłym głosem.

Stary sługa zjawił się na zawołanie.

— Wojciechu, długo już u mnie służysz?

— Od dziecka, proszę jasnego pana!

— Od dziecka... a wieleż to lat, mój kochany?

— Czterdzieści ośm lat... to bardzo długo!

— A powiedz, czy przez ten czas dobrze ci u mnie było?

— Bardzo dobrze...

— Więc jesteś ze mnie zadowolony?

— Bardzo, proszę...

— A kochasz ty mię choć trochę...?

Stary sługa niepewnym okiem spojrzał na pana.

— Proszę cię, nie krępuj się, mów śmiało, — zachęcał pan Jakób.

— Więc tak, kocham jasnego pana..:

— A masz ty żonę, dzieci?

— Jasny pan nie wie o tem? A jakże, mam — chwalił się sługa.

— Więc... przyprowadź ich do mnie, niech się dowiem, czy i oni mię kochają.

Zdziwiony Wojciech wyszedł, a po chwili wprowadził do salonu żonę z dwojgiem zaspanych dzieciaków.

— Więc to twoja rodzina? Śliczne masz dzieciaki Wojciechu, szczególnie ta mała, bardzo mi się podoba. Pójdź do mnie dziecino!

— A pocałuj jasnego pana w rękę — napomniał Wojciech.

Dziewczyna niesmiało zbliżyła się do pana Jakóba, ten z rozrzewnieniem spojrzał w ładne liczko dziecka i niezdając sobie sprawy z tego, co czyni, ucałował je w buzię.

Wojciech zdumiony, patrzał na pana, nie wiedząc co czynić.

— Masz matko, masz — mówił wzruszony pan Jakób, oddając dziecko Wojciechowej — będę o niem pamiętał... a wy... kochajcie mię, niech wiem, że mię ktoś kocha, że nie jestem samotny na świecie...

Luca de Sivito.

Mysz polna.

Małe to zwierzątko, bywa niekiedy przyczyną tak ogromnych szkód w plonach, iż niema prawie co zbierać. Na szczęście, zdarzają się takie znaczne spustoszenia dość rzadko, że jednak naprzód trudno je przewidzieć, powinni rolnicy być obznajomieni z naturą tego szkodnika, oraz ze środkami, służącymi do jego wytępienia, ażeby zawczasu mogli zapobiegać większej klęsce, gdy są oznaki, iż ona może nastąpić.

Do wielkiej niekiedy szkodliwości myszy polnej, przyczynia się najbardziej niesłychana jej mnożność. Miewa ona 5 do 8 razy młode w roku, a za każdym razem przychodzi tychże 5 do 12 na świat. Młode stają się po jednym, lub dwóch miesiącach zdolnemi do rozpłodu, a ztąd można sobie wyobrazić, jak wielka ilość myszy może się w roku jednym z jednej pary namnożyć. Uczeni obliczyli, że gdy rok sprzyja myszom, a więc, gdy wiosna jest wczesna, zaś jesień długa i ciepła, z jednej płodnej pary myszy może się zjawić do dziesięciu tysięcy. Do jakiejże ilości może doprowadzić w takim sprzyjającym roku sto, lub dwieście par? Przypuśćmy teraz, że jedna mysz zrobi nam szkody w polach tylko za 1 centa, natenczas wypadnie z powyższego rachunku, że jedna para myszy może być przyczyną straty w kwocie sto zł. w jednym roku.

Długa, ciepła, a sucha jesień, oraz łagodna i krótka zima, ułatwiają nadzwyczajnie rozmnażanie się i utrzymanie przy życiu myszy polnych, gdy przeciwnie, obfite deszcze w jesieni, ostre mrozy i wielkie w zimie śniegi, z których powstała na wiosnę woda, dziury mysie zalewa, tępią z łatwością te szkodniki, czułe na zimno i wilgoć. I to jest wielkiem szczęściem dla rolników, bo gdyby te naturalne wpływy nie były dla myszy polnych zabójcze, byłaby walka z tymi szkodnikami, prawie niemożliwą.

Tępienie myszy polnych powinno być nieustanne, nigdy bowiem rolnik nie może przewidzieć, jaka będzie jesień i zima, jaki będzie rok następny. Jeżeli na obszarach, chociażby należących do całej wsi, tylko kilkadziesiąt myszy przezimuje, zaś rok następny będzie sprzyjać silnemu ich rozmnożeniu, natenczas klęska jest gotową. Z tych kilkadziesięciu myszy będzie wkrótce kilkadziesiat tysięcy, lub i więcej, a że rolnicy po zasiewie zwykle nie troszczą się o swoje obszary zasiane, przeto nic dziwnego, gdy po pewnym czasie wyjdą w pola, odnoszą wrażenie, jak gdyby stada myszy nagle z jakichś dalszych stron przywędrowały. W rzeczywistości, tylko nieoględność gospodarza była przyczyną tak silnego rozmnożenia się tych szkodników.

Tępienie myszy powinno się odbywać wspólnemi siłami, gdyż wysilenia nawet największe jednego rolnika, nie przydadzą się na nic, zwłaszcza w polu, mogą chyba być nieco skuteczne w obrębie domostwa i choć część plonów uchronić do zniszczenia. Do środków tępienia zasługujących na wyszczególnienie, należą:

1. Należyta ochrona naturalnych nieprzyjaciół myszy, jak łasic, jeża i myszołowów. Szczególniej łasica jest niezmordowaną w tępieniu myszy, które zagryza nawet i wtedy, gdy wcale nie jest głodną. Jeż tępi je również, ale jest nie liczny, więc nie może wyniszczyć dużo myszy. Myszołów jest ptakiem, podobnym do drapieżnych jastrzębi, bywa też często z nieświadomości zabijanym, chociaż jest ptakiem pożytecznym, jak sama nazwa wskazuje.

2. Zabijanie myszy kijami, a w tym celu należałoby na wiosnę i w jesieni urządzać polowania wspólne, jak najliczniejszemi siłami, używając do tej roboty młodzież. Gdyby jedna osoba w latach, nie obfitujących w myszy, zabiła w czasie takiego polowania w ciągu dnia tylko 3 sztuki, tedy 200 osób zabije w jednym dniu 600 myszy, z których w roku dla myszy srrzyjającym, mogą się miliony namnożyć.

4. Wkopywanie po polach głębokich, a wewnątrz polewanych garnków, w które dużo myszy wpada. Trzeba jednak przedtem zbadać powierzchnię pola i tam garnki wkopywać, gdzie widoczne i liczne są ślady myszy.

4. Trucie za pomocą ziarn zbożowych zatrutych, ale te środki wymagają ostrożności, bo są niebezpieczne i dla człowieka i innych zwierząt domowych. Należy je przeto tylko w zamknięciu przechowywać, jeśliby zaraz po sprowadzeniu rozsiane być nie mogły, a tak się z niemi obchodzić, by ani ziarnko nie padło w izbie, podwórzu, lub na przyległem do domostwa polu, gdyż drób domowy, mógłby się łatwo struć.

5. Głębokie rozorywanie miedz, w których myszy w znacznej ilości się gnieżdżą.

6. Zalewanie nor mysich wodą, co w pobliżu strumyka nie jest tak trudne.

7. Okopywanie stodół i stogów głębokimi rowami, zwłaszcza w lata, gdy myszy jest dużo. W jesieni wędruje zwykle dużo myszy z pola do stodół i stogów, wpadając zaś do takich rowów, mogłyby być łatwo zabijane.

W nowszych czasach nabył wielkiego rozgłosu środek, wynaleziony przez prof. Löfflera, a który polega na zarażeniu myszy bakcylami tyfusu mysiego. Środek ten nie okazał się jednak wszędzie skutecznym. Tak n. p. u nas, robiono liczne doświadczenia z tym środkiem,

a chociaż tu i ówdzie myszy ginęły, w innych miejscach tylko chorowały, ale nie ginęły i to jest powodem, że środek nie rozpowszechnił się tak, jak wynalazca przepowiedział. Niektórzy zalecają t. zw. cebulę morską, sprzedawaną w aptekach, która ani dla człowieka, ani dla zwierząt domowych nie jest szkodliwą. Cebulę tłucze się na miałki proszek, miesza z wodą i mąką na gęste ciasto (1 część cebuli na 4 części mąki, to ciasto roztacza wałkiem cienko, kraje na małe kwadraciki, suszy je i wreszcie wrzuca po jednym, lub dwa w mysie dziury.

W. S.

O znaczeniu i różnych rodzajach środków wodoleczniczych.

Każda zwykła choroba, jest nagromadzeniem się w ustroju pewnych zużytych przy przemianie materji cząstek; ruch krwi nie jest dość silnym, aby te odpadki przemiany materji w czas wydalić z ciała i stąd powstają dolegliwości, przypadłości różne i cierpienia. Chcąc cierpienie zmniejszyć, chorobę wyleczyć, trzeba poruszyć krew, aby zdołała wszystkie chorobotwórcze pozostałości z ustroju wydalić. Jednym ze środków ku temu, jest stosowanie wody w formie łaźni, oblewań, zmywań, ocierania i owijania. Podrażniając skórę i jej nerwy wodą, podniecamy tem samem różne narządy ciała, do odpowiedniego działania przeciw słabości ustroju. Ponieważ każda choroba będąc skutkiem nie dość prawidłowego ruchu krwi, a wzajem oddziaływając znów coraz to ujemniej na ruch ten, dotyka niekorzystnie całego ustroju, przeto i środki wodolecznicze, jako poprawiające ruch krwi, przy każdej chorobie obok poszczególnych środków (naparzań, herbat itd.) i obok innych ogólnych środków (powietrza, djety) zastosowanie znajdować powinny.

Główną zasadą, przy stosowaniu wszelkich środków wodoleczniczych, czy to używając wody zimnej, czy ciepłej, jest baczenie na to, aby ciało chorego przed każdą czynnością dobrze było rozgrzane.

Należy więc, zanim się przystąpi do używania jakiegokolwiek środka wodoleczniczego, rozgrzać się wprzódy dobrze w łóżku, lub wytrzeć ręką, albo ręcznikiem mocno ciało, rozgrzanie ciała można też uskutecznić w razie potrzeby przykładaniem gorących baniek, najlepiej jednak wywołać ciepło, skoro tylko nie jest się zbyt osłabionym, ruchem dostatecznym, bieganiem itp.

Najlepszą porą do stosowania środków wodoleczniczych jest czas poranny, bezpośrednio po wstaniu z łóżka.

Nie należy przedsiębrać żadnych środków wodoleczniczych na czczo, ale też i nie z przepełnionym żołądkiem. Chory nie powinien uczuwać głodu, ani pragnienia, ale też nie być ociężałym.

Ciepłota w pokoju, gdzie się odbywa kuracja, powinna wynosić co najmniej 12 stopni R.

Przy każdem zastosowaniu jakiegoś środka wodoleczniczego, trzeba się udać do łóżka, albo też zażywać dostatecznego ruchu, czy to w pokoju, czy na wolnem powietrzu.

Gazetka teatralno-artystyczna i literacka.

Teatr. *Fircyk w zalotach*, komedja w 3. aktach Zabłockiego należy do epoki literatury naszej za czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego. Wydał ją autor z przedmową i odczytał na słynnych objadach czwartkowych. Rzecz cała wzorowana jest na sztukach Molier'a, które wywierały przeważny wpływ na całą literaturę dramatyczną w Europie, a u nas tembardziej, gdyż ówczesne nasze wyższe towarzysto dostrajało się do życia dworu francuskiego. Sposób też prowadzenia intrygi jest wiernem odbiciem metody scenicznej, praktykowanej przy Molier'a, metody, w której udział służby domowej odgrywa decydującą rolę. Tak się dzieje i w *Fircyku w zalotach*. Ale Zabłocki, mimo całego naśladownictwa w akcji i w sposobie prowadzenia całej rzeczy — odznacza się niepospolitą samoistną obserwacją, dowcipem i nie rzadko wcale pomysłową oryginalnością w sytuacjach komicznych i djalogu. Komedja pisana jest wierszem miejscami ciętym, a zawsze poprawnym, prawidłowym i potoczystym.

Rysowanie postaci śmiałe, dabre i trzymane w charakterze, a chociaż pod francuskim kostiumem, bo wówczas arystokracja nasza z małym wyjątkiem, nosiła się po francusku — wygląda z nich dusza polska z jej zaletami i wadami. *Fircyk w zalotach*, przy całym swoim literackim i artystycznym archaizmie, zajmować zawsze będzie w lIteraturze dramatycznej polskiej stanowisko dominujące ze względu na rzeczywisty talent komedjopisarski, jakim się Zabłocki odznacza. W dzisiejszych czasach, komedja ta, nie zdobędzie, oczywiście, popularnego powodzenia nie mniej, jednak, a może właśnie dlatego, za prawdziwą zasługę należy poczytać lwowskiej dyrekcji, że nie oglądając się na kasę wystawiła *Fircyka w zalotach* z całą stylowośdią i wzorową starannością reżyserską, jako sztukę stanowiącą zaranie w rozwoju literatury dramatycznej polskiej dziś kroczącej śmiało obok literatur innych narodów, którym samoistny byt polityczny we wszystkiem dopomaga, a nam polakom... prawie wszędzie szkodzi, a nierzadko, niestety, krępuje i pragnie tępić w nas narodową rzutkość, energję, dodatni temperament i tę myśl bożą, którą genjusz narodu niesie na szerokich skrzydłach literatury i sztuki... Jak powiedzieliśmy wyżej, *Fircyk w zalotach* oprawiony jest u nas na scenie w ramy, co się nazywa, stylowe. Więc urządzenie całe sceny *roccoco*, a kostiumy i w ogóle garderoba francuska z całą precyzją użyte i zastosowane.

Nie łatwo grać dziś stare sztuki i to tego pokroju, co *Fircyk w zalotach*. Tradycje obyczaju zniknęły i poszły już na łono historji — aby je uchwycić w formy wypukłe, aktorskie, trzeba nie mało artystycznej intuicji. — Powiodło to się naszym artystom.

Tytułową rolę grał p. Nowacki. Grał ją oryginalnie, ze szczerym temperamentem okazując duży zasób inteligencji.

Arist p. Chmielińskiego może służyć za wzór pomysłowości aktorskiej, a odznacza się przytem prawdziwymi rysami artystycznej przenikliwości i myśli głębszej.

Powabu i wdzięku moc roztoczyła p. Stachowiczowa w roli Podstoliny równie, jak p. Zapolska w Klarysie — chociaż to zupełnie dwie odmienne postacie.

Jak w ówczesnych komedjach, tak i w *Fircyku w zalotach* lokaje matują i rozmotują intrygę i stanowią prawdziwy żywioł komiczny.

Pustaka świetnie, co się nazywa gra p. Feldman. W grze jego, werwy komicznej w bród a prawda życiowa bije z każdego słowa. Świstaka gra p. Zejdowski. Jest to artysta świeżo zaangażowany z rządowej sceny warszawskiej. Posiada silne i dobrze rozwinięte rysy charakterystycznego artysty. Scena lwowska pozyskała niepoślednią siłę w p. Zejdowskim. Jego Świstak jest doskonale pojęty i starannie wycieniowany. W grze, w akcji i w dykcji, p. Zejdowski posiada wiele naturalnego humoru. Aby, jednak, ocenić należycie tego artystę, trzeba go jeszcze widzieć w innych rolach, na co długo czekać nie będziemy.

Licznie zebrana publiazaość bawi się wybornie na *Fircyku w zalotach* i odczuwa tę epokę, w której nasze ideały narodowe powoli układały się do snu, aby później — może jeszcze za naszych dni, a z pewnością po nas, wybuchnąć całem życiem...

Iks Ypsylon.

Operetka. Krotochwilny *Boccacio* zagościł znowu na naszej scenie. Przyniósł z sobą dobre tradycje i na te smutne czasy, masę humoru, który zniewala zapomnieć o tem, co jest i o tem, co będzie. Najlepiej byłoby przespać to wszystko — tak jest nie dobrze... Doprawdy, przychodzi się do przekonania, że życie nie raz jest... operetką...

Skrzy się od humoru w tym *Boccacio.* Skrzyło się dawniej trochę inaczej — dziś się skrzy inaczej, ale się zawsze skrzy... A jeśli się skrzy — to dobrze, to po co myśleć o lepszem?... Życie przewali się tak, czy owak, a im się przewali przyjemniej — tem lepiej... Tak mówi operetka — i może ma słuszność...

A więc p. Bohusówna w tytułowej partji i roli, bo w operetce jest zawsze jedna i druga, była czarującą. Nie dziwimy się, że mieszczanki florenckie przepadały za tym urwisem — poetą... I pisać umiał, i kochać umiał, i śpiewać potrafił... Ale, jak śpiewać — na to trzeba być... Bohussówną... Pp.: Schuppówna, Bronikowska, Miłowska igrały śpiewem i rozkoszną akcją, a pani Kasprowiczowa uzbraja się zawsze w humor, który skrzepia nieskazitelnością i brawurą wokalną... Komiczny Lambertuccio znalazł w p. Myszkowskim doskonałego przedstawiciela, a kuplety jego aktualne i dowcipne, ściągają burzę oklasków i śmiech homeryczny.

Prześlicznie śpiewa partję Leonetta p. Malawski, a p. Lelewicz, jako cyrulik i p. Bogucki, jako Pietro — pierwszy pyszną grą i komizmem, drugi jednem, drugiem i śpiewem pełnym mękkiej, a przytem sympatycznej charakterystyki, wkradają się do serdecznej pamięci rozbawionej publiczności, wypełniającej teatr po brzegi.

W drugorzędnych rolach wyróżniają się pp. Kiczman, jako »Nieznajomy« i Stypkowski, jako bednarz. — Tańce w akcie 3-cim wykonywują z estetyczną brawurą pp. Sachs, Sachsówny Adela i Wanda, oraz pp. Staszko i Bogdanowicz. Operetką dzielnie dyryguje p. Słomkowski. Całość przedstawia się zwarto i harmonijnie. Wzorowa reżyserja widnieje wszędzie.

Omega.

— W teatrze Nowym, przy ulicy Blanche w Paryżu, umyślnie zorganizowane towarzystwo artystyczne, wystawiło pod kierunkiem głośnego kapelmistrza Karola Lamoreux, nieznaną dotych czas francuskiej publiczności, operę Wagnera: „Trystjan i Izolda". Widowiska to, na wzór teatru Wagnerowskiego w Bajreucie urządzane, cieszą się powodzeniem dość dobrem i zyskały poparcie pewnych sfer towarzyskich, dzierżących berło mody.

Echa zamiejscowe.

Z Poznania piszą:

Rząd pruski dokłada teraz widocznie wszystkich sił, ażeby podnieść stan rzemieślniczy na wschodzie, w dawnych dzielnicach polskich.

Dawniej tego nie było, teraz dopiero myśli rząd o tem, kiedy hakatyści roznieśli po całych Niemczech hasło, że polacy chcą się oderwać od państwa pruskiego, że wypierają niemczyznę, że są niebezpieczeństwem dla państwa.

Prócz innych projektów, ma być także niebawem urządzona w gmachu tutejszej szkoły budowniczej, sala dla wzorów rzemieślniczych. Będą tam rozłożone plany, rysunki, wzory z budownictwa, stolarstwa, ślusarstwa, nowe narzędzia i okazy, jak się niektóre materjały surowe obrabia.

Rząd wychodzi z tego założenia, że między rzemieślnikami jest wielu ludzi z rzeczywiztemi zdolnościami w swym zawodzie, ale tych przyrodzonych zdolności nie umieją zużytkować dla braku lepszego wykształcenia fachowego. Rzemieślnik do szkoły zawodowej już nie pójdzie, bo mu cz s na to minął; może się z książek fachowych kształcić, ale gdzie on znajdzie w książce to właśnie, czego w danej chwili w swym warsztacie potrzebuje. Na roczczytywanie się zaś w książkach zawodowych, nie ma czasu.

Otóż, na owej sali znajdzie nie tylko książkę, ale wzory i okazy, jak się niektóre rzeczy wyrabiają. W sali będą nawet ludzie zawodowi i gdy będzie potrzeba w jakim poszczególnym wypadku, to zrobią rysunek, plan, pokażą, objaśnią, co potrzeba, jak się rzemieślnik ma zabrać do tego, lub owego wyrobu.

Sala ta będzie otwartą wieczorami trzy razy w tygodniu dla majstrów, czeladników i starszych uczni, a prócz tego raz w tygodniu po południu tylko dla majstrów,

Podobne urządzenia istnieją już w południowych Niemczech, w nadreńskiej prowincji, także w Szwajcarji i Austrji. Tylko u nas dotąd rząd o tem nie myślał.

W interesie narodowym młodzież rzemieślnicza powinna się garnąć całą gromadą do tej sali. Skoro rząd, magistrat poznański, a przynajmniej naczelnik jego, skoro zjazdy urzędników komunalnych, tyle nam prawią o podniesieniu kultury na wschodzie, o wzmocnieniu żywiołu niemieckiego, a hakatyści do tego dorabiają jeszcze muzykę, wygrywającą miserere dla żywiołu polskiego; skoro zatem w każdym kierunku życia zarobkowego, społecznego, robi się teraz na wielką skalę politykę, to bylibyśmy obrani z wszelkiego zmysłu zachowawczego, gdybyśmy nie mieli także wszędzie zaznaczać naszej cechy i naszych interesów narodowych. Skoro niemcy robią wszędzie politykę, róbmy politykę taką wszędzie.

Niech hakatyści głoszą do woli, że zrobimy rewolucją za dwa, lub za trzy tygodnie, niech się zadeklamują, a my słowem i czynem stwierdzajmy, że jesteśmy poddanymi pierwszej klasy, bo płacimy podatek, bo służymy królowi w wojsku, bo spełniamy wszystkie obowiązki względem tronu i państwa. Nie dajemy wprawdzie groszy na pomniki cesarskie, ale za to też młotami nie zbijamy nosów bohaterom niemieckim, ani też nie rozbijamy pomników w książęcych parkach, jak się to zwykle stało teraz pod Berlinem.

My musimy tylko znać sami i dobrze oceniać naszą wartość, jako poddanych państwa. Jesteśmy okrzyczani jako rewolucjoniści, ale jesteśmy w rzeczy samej więcej warci, jak

niejeden niemiec, uważany za poddanego pierwszej klasy.

Z tem przeświadczeniem o sobie, z tą pewnością siebie, powinni się młodzi rzemieślnicy i przemysłowcy w Poznaniu garnąć na ową salę. Niech tam zdobywają potrzebne wiadomości, niech przez to zwiększają swój zarobek i dobrobyt.

Niech z niemcami razem współubiegają się o podniesienie przemysłu na wschodzie.

Gorąco zachęcać ich należy do tego, bo to współubieganie się będzie stanowiło teraz treść naszej pracy, około utrzymania tak materjalnego, jak narodowego bytu — główną treść naszej polityki narodowej.

Z Chełmna (Prusy Zachodnie) piszą:

Okrzyk zgrozy i rozgoryczenia rozlega się odgłosem grzmotu po całych Prusach, ba, w całej ziemi polskiej. W chełmińskiem gimnazjum zniesiono naukę języka polskiego we wszystkich klasach, aż do tercji. Rzecz prawie nie do uwierzenia, a jednakże prawdziwa. A więc w Chełmnie, w tem gimnazjum, utworzonem na podstawie starej wyższej kultury szkoły polskiej, która tam przez całe wieki istniała, w tem jedynem gimnazjum, w którem język polski miał jakie takie prawa, zniesiono naukę języka polskiego, we wszystkich niższych klasach, aż do tercji. I w jakiem się to państwie dzieje? Czy może w państwie rosyjskiem, w tem przez prusaków, jako barbarzyńskie okrzyczanem? Broń Boże, to w tem arcycywilizowanem państwie pruskiem, o którem nikczemni pochlebcy mawiają, że przoduje światu pod względem cywilizacji. W wyższych klasach od tercji począwszy, jeszcze tego zakazu nie wydano, lecz przebąkują, że od 1. kwietnia r. p. rozciągniętym będzie po nad kwartę. Domyślają się, że zakaz ten spowodował radca ministerjalny dr. Meinertz, były dyrektor gimnazjum św. Marji Magdaleny w Poznaniu.

Żółkiew. W niedzielę mieliśmy wizytę pp. radców: dr. Roescha i Skowrona w sprawie przeniesienia zakładu karnego ze Lwowa do Żółkwi. Wedle zapewnień obu panów radców, Żółkiew ma największe szansze otrzymania zakładu karnego po przeniesieniu go ze Lwowa. Miasto nasze bardzo się rozwija, a wspaniałe budowle, w ostatnich czasach wykonane, jak np. »Sokół«, nie mało przyczyniły się do podniesienia miasta i co zatem idzie, życia towarzyskiego. To ostatnie szczególnie ożywiło się znacznie, od czasu przybycia do Żółkwi sekretarza magistratu p. Mańkowskiego, który dał impuls do wzbudzenia od kilku lat nieistniejącego kółka amatorskiego, które co miesiąc urządza przedstawienia, uwieńczone ogromnym sukcesem. Obecnie mamy zapowiedziany na dzień 29. b. m. obchód rocznicy powstania listopadowego z obfitym programem i przy współudziale wybitnych sił lwowskich. Autorowie odegrają na zakończenie jeden obraz z *Pana Tadeusza*, uscenizowanego przez ś. p. Lucjana Kwiecińskiego. Przeprowadzone przed miesiącem wybory do Rady powiatowej, wprowadziły do tejże z małych posiadłości 12 twardych »russkich«. Marszałkiem ponownie wybrany został p. Tadeusz Starzyński, dotychczasowy energiczny i nadzwyczaj pracowity marszałek — zastępcą jego tutejszy opat ks. Bauch. Teatr Winiarskiego, złożony z artystów od 14 do 18 lat liczących, po bardzo dychawicznym żywocie, wyjeżdża do Mostów.

Ze Stryja piszą:

Wkrótce powstanie na placu Sobieskiego pomnik Kilińskiego.

Z powodu niezdrowych stosunków w powiatowej kasie chorych, znana fabryka p. Perkinsa odmówiła wypłaty za swych ludzi.

W tych dniach opuścił miasto nasze lekarz miejski dr. Andrzej Jeż, przenosząc się na stałe, do majątku swego w powiecie stanisławowskim. Dr. Jeż cieszył się w szerokich kołach poważaniem.

Były przywódca robotników: p. Michał Borysławski, znany ze swych zapatrywań socjalistycznych, otworzył sobie warsztat stolarski. P. Borysławski, obecnie zmienił swe poglądy — to też zapewne lepiej na tem wyjdzie. *E. H.*

Z Rzeszowa piszą:

Garbarnia akcyjna, zdobyła w ostatnich czasach siłę fachową, w osobie p. Aleksandra Nikolaya i jest na drodze bardzo pomyślnego rozwoju. P. A. Nikolayi, został mianowany technicznym dyrektorem, akcyjnej garbarni. Administracyjnym dyrektorem, oraz członkiem Rady zawiadowczej, akcyjnej garbarni w Rzeszowie, jest p. Ludwik Gedrus Eydziatowicz.

Stanisławów. Towarzystwo muzyczne im. Moniuszki, przechodzi obecnie proces sanacji. Pierwszem zadaniem nowego wydziału, było oczyścić tabulę Towarzystwa z przygniatających je długów, pod których ciężarem musiałoby żywota swojego prędzej, czy później dokonać. Sytuacja była bardzo poważna i wyjście z niej było niezmiernie trudne. Otóż, za zasługę poczytać należy obecnemu wydziałowi tego Towarzystwa, że rozumną gospodarką, wykorzystaniem wszystkich środków, jakimi rozporządzał, oraz zapobiegliwością niesłychaną, umiał gmach Towarzystwa ochronić od pewnej ruiny i zapewnić tem samem instytucji, na wskroś polskiej, byt dalszy i rozwój.

W lot.

= Frazesy, a rzeczywistości.

Otrzymujemy następujące pismo:

»Mówi się u nas dużo i pisze się nie mało, o dawaniu zarobku swoim i o chronieniu ich przed wyzyskiem i wydzieraniem kawałka chleba przez obcych, zwłaszcza takich, którzy są wrogami naszego narodu. Tak się mówi i tak się pisze, a w rzeczywistości jest inaczej.

Exemplum:

Dla nowego teatru maluje p. Jasiński dekoracje. Bardzo ładnie z jego strony i bardzo ładnie ze strony zarządu budowy, że polakowi tę czynność powierzyła, ale... p. Jasiński sprowadził sobie do pomocy czterech niemców z zagranicy, którzy właśnie zajęci są przy malowaniu miejskich dekoracyj. Nie można przecież tłomaczyć się tem, że u nas brak takich specjalistów, bo to nieprawda zwłaszcza, że p. Jasiński dwóch polaków pozbył się: jeden pojechał do Warszawy, a drugi do Krakowa. Czy to tak powinno się dziać?... Jeśli wolno p. Jasińskiemu sprowadzać niemców — to nie możnaby było mieć za złe lwowsktej Radzie miejskiej, gdyby zamiast p. Jasińskiego zaangażowała do malowania dekoracyj jakiego niemca, lub francuza tembardziej, że możnaby takiemu cudzoziemcowi położyć za warunek, aby do pomocy użył polskich sił, co zresztą byłoby łatwiejszem. A tak co?...

Byłby jeden niemiec, a tak jest już czterech, a jak się dowiadujemy, sprowadza ich p. Jasiński więcej. Niebawem mają przybyć już do Lwowa. Niechże, przynajmniej wiedzą sąsiedzi, jak się siedzi i niech wie Rada miejska, jaka się krzywda wyrządza polskim pracownikom w tak ciężkich warunkach ekonomicznych, w jakich żyć musimy i to „właśnie przy sposobności, która *naszym siłom* powinna dostarczyć większego zarobku, jak zwykle.

Pewien.

= »Wyodrębnienie Galicji«.

Pod takim tytułem p. Studnicki, prawnik, miał odczyt w lwowskiej sali ratuszowej, Ze stanowiska narodowego polskiego, wyodrębnienie Galicji byłoby faktem niezmiernie doniosłym politycznie. Przeciwnicy walczą ze stanowiska ekonomicznego. Pan Studnicki argumentuje zdrowo i opiera się na szerszym gruncie, a ci, co przeciwko jego wywodom występowali po odbyciu prelekcji, patrzyli tylko na koniec własnego nosa i w kieszeń... zawsze dziurawą... Z kieszeni nic, a z dziury jeszcze mniej... Dziwna rzecz! panowie socjalni demokraci walczą przeciw kapitałowi, a ich rzecznik oponując p. Studnickiemu, niejaki p. Czaki, powiada, że »rozwój takiego małego kraiku, jak Galicja, bez europejskich kapitałów niczego dokonać nie może«. Więc dla polskiego ekonomicznego rozwoju potrzeba socjalistom „europejskiego kapitału“... Śliczny program!... Czego się socjaliści boją, gdyby Galicję wyodrębniono? Przewagi szlachty. A teraz co?... niema jej? Płytkie te wszystkie zarzuty... Wyodrębnienie Galicji byłoby dla Polski ogromnym pożytkiem. Kto tego nie rozumie — ten nie wiele rozumie... Zresztą, daleko do tego, bo nasi wrogowie wiedzą, co się w tem święci...

= Park dla młodzieży.

Myślą o tem we Lwowie zapatrując się na Kraków. Tylko, że w Krakowie dokazała tego jednostka ożywiona patrjotyzmem i miłością dla dzieci — więc poszło szybko, jak z płatka. U nas sprawa weszła na tory dyskusji i krząta się koło tego „grono ludzi“. Wiadomo »grona« nie tak prędko dojrzewają.. Należy się jednak uznanie dla inicjatorów — tymczasem krakowskie dzieci będą mówiły:

— A my mamy park Jordana dla siebie — aha!

A nasze:

— A my mamy naszą sprawę Kasy Oszczędności — aha!...

= Wystawa we Lwowie »złocieni«.

Termin botaniczny, czy ogrodniczy wymyślony na wzór »cichostępów«, »kościotuli« itp. Ale trudno, już jest, więc niech będzie. Wystawy takie powtarzają się u nas co rok — żeby, jednak, miały przynosić dużo pożytku — tego powiedzieć nie można. Taka sobie zabawa — dosyć przyjemna i szybko opatrująca się. I to premiowanie wystawców jest, właściwie, zabawą. Medali, dyplomów i odznaczeń więcej, jak wystawców... Przypomina nam to powiatową wystawę w Kałuszu przed laty. Jakiś wystawca z Rozdołu obsiadł prezesa kałuskiej wystawy z pretensją, że nie dostał żadnego odznaczenia. Prezes nie mając już nic do premiowania, bo wszystko już rozdane zostało, dał wystawcy z Rozdołu... swój bilet wizytowy...

Przegląd polityczny.

W państwach mających tak zwany ustrój konstytucyjny i parlament należy do rzeczy niezwykłych i niemal niebywałych, ażeby rząd opierał się na mniejszości i ulegał jej. A jednak stało się to w Austrji. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że gabinet hr. Clarego, jakkolwiek nazywa się »przejściowym«, jest gabinetem dawnej opozycji niemieckiej i sprawuje rządy w myśl jej życzeń.

Jest to tak nienaturalnem, że dziwić się nie można, iż prawica t. j. większość, nie jest dobrze dla takiego gabinetu usposobioną i stara się go zwalczyć, robiąc mu na każdym kroku trudności.

Gdyby coś podobnego stało się w Węgrzech, żeby rząd nie opierał się na większości, jak to było w ostatnich czasach rządów bar. Banffiego, to ta większość objawiłaby swój brak zaufania i swoje niezadowolenie w tak jaskrawy sposób, że gabinet w przeciągu krótkiego czasu musiałby uledz i podać się do dymisji.

W Wiedniu zwalczanie niemiłego gabinetu dla większości, dokonywa się obecnie w sposób względnie dość grzeczny,

Już w sprawie przyspieszenia wyborów do wspólnych delegacyj, musiała korona interweniować, bo gabinet hr. Clarego stał w obec tej sprawy bezradnym. A prawica dowiedziawszy się o woli monarszej, natychmiast do tej najwyższej woli się zasłosowała. Lecz większość będąca w opozycji ma wiele broni w zapasie.

Taką bardzo silną bronią stała się uchwała komisji kontroli długów państwa, aby ministerstwu finansów nie pozwolić na przeniesienie 59 milionów zł. w monecie brzęczącej do Banku Austro-Węgierskiego, jako podkładu na nowo wydać się mające banknoty 10-koronowe. Komisja ta, wychodzi z tego punktu widzenia, że uchwała zarządzająca wydanie tych papierów, nie była postanowioną w drodze ustawodawczej, ale na podstawie § 14 poleciła, aby to przeprowadzić przez parlament.

Jest to dopiero pierwszy wypadek w Austrji, aby coś podobnego w takiej sytuacji rządowi odmówiono.

Większość czując swą siłę chce pokazać, że bez niej rządzić nie wolno, a jakkolwiek jest to tylko tak zwany »gabinet przejściowy«, to jednak on z tą większością liczyć się musi i powinien.

Lecz chodzi tu o jedno.

Jakkolwiek, my polacy z gabinetem hr. Clarego sympatyzować nie możemy, to przecież nie wiadomo co gorsze? czy obalić gabinet, za nim on przeprowadzi przez Radę państwa najważniejsze kwestje państwowe, czy też powtórnie stworzyć w Austrji chaos, jaki dotąd panował. Jest bowiem do uchwalenia kilka ważnych spraw i wniosków, jak n. p. zniesienie stempla dziennikarskiego i kalendarzowego. Jeżeli się gabinet obali i co prawie — jak obecnie równoznaczne — zerwie się w skutek tego sesję parlamentu, to wszystkie wnioski, interpelacje itp. nie będą mogły być rozpatrywane. Z dwojga złego biorąc mniejsze, jest niezawodnie lepiej, gdyby obecny gabinet pozostał do końca sesji parlamentu i przeprowadził ważniejsze sprawy. A czy tak, czy owak — zawsze dnie jego są policzone — możemy być pewni, że przy całej gibkości hr. Clarego i p. Koerbera, powrócimy znów do gabinetu opartego na większości.

Ciekawe, pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Pod Austerlitz, na polu zwycięzkiej bitwy Napoleona I., stoczonej w r. 1805 z armią austrjacką, zbudowany zostanie pomnik ku czci poległych. Utworzył się w tym celu komitet, do którego należą obywatele, księża i wojskowi. W bitwie pod Austerlitz odznaczyły się chlubnie pułki polskie i poległo wielu polaków. Austerlitz nazywa się po czesku Slawków.

Wszystko zmierzono w naszem stuleciu, nawet szybkość fal morskich; tego ostatniego dokonał inżynier angielski dr. Schott. Stosownie do jego obliczeń, przy słabym wietrze bałwany biegną z chyżością $7^1/_2$ metra na sekundę, przy średnim wietrze szybkość ich wynosi 10 do 12 matrów, przy silnym 15 do 18 m. Podczas burzy, fale pędzą w stosunku 24 metrów na sekundę, co odpowiada 86 kilometrom na godzinę. Zwykle następują po sobie co 15 sekund, a długość ich dochodzi do kilkuset metrów. Zdarzało się, że podczas cyklonów i huraganów, chyżość fal wynosiła 96 kilometrów na godzinę.

Drzewo pistacjowe, które dostarcza zielonych migdałów, zwanych pistacjami, pochodzi z Syrji, rośnie nad morzem Śródziemnem, w Ameryce, w Chinach i Indjach. Żółtawe jego owoce, o zielonawej masie, zawierają słodkie oleiste migdały, używane do ciast i na konfitury.

Są tylko dwa państwa cywilizowane, w których biały człowiek nie może otrzymać praw obywatelstwa, ani posiadać własności: Liberja w Afryce i Haiti.

Liczba marek pocztowych, wydanych na całym świecie w rozmaitych krajach, wynosi 13,811. Z tej ogólnej ilości, na Anglią przypada 131 rozmaitych znaczków pocztowych, a na jej kolonie — 3,843. Największa różnorodność marek panuja w Ameryce, gdzie liczą ich nie mniej, niż 4,656.

Jaskółek we Francji coraz mniej. W piśmie »La Nature« jest wzmianka o tem, że w północnej i środkowej Francji, coraz większy daje się czuć brak jaskółek i ptaszków owadożerczych. W Paryżu i w północno wschodniej części kraju, już jaskółek wcale się nie widzi. Jestto skutek lekkomyślnego tępienia tychże ptasząt we Francji, Hiszpanji, Włoszech i Afryce północnej. W Algerji i Tunisie łowią i sprzedają mieszkańcy jaskółki, przez które potem druty przeciągają, a służą one, tak samo jak skowronki, do wyrobu pasztetów. Istnieją szczegółowi wypychacze, którzy że świeżo zabitych ptaszków zdzieraią skórki i wypychane sprzedają na ozdoby do kapeluszów niewieścich. Z jednego dworca kolei żelaznej z Hendaye, wysłano do Paryża 149 skrzyń z piórami ptasząt, jako ozdoby na kapelusze, a ważyły one 11 tysięcy kilogramów. Jeśli się obliczy, że jedna skórka z upierzeniem waży 5 kgramów, to na zawartość tych przesyłek z owego dworca, potrzeba było do 2 milionów ptasząt. A to dopiero jeden dworzec! Ileż to ptasząt tępią ludzie w ogóle? Nierozumni — wyrządzają szkodę własnym polom i ogrodom, tępiąc te niszczycielki owadów. W ostatnim dopiero czasie, rządy się na tem spostrzegły i wydawają przepisy, celem ochrony tychże ptasząt.

Przesełka owoców. Należy owoce tak opakować, aby podczas przewozu nie uległy uszkodzeniu. Nie można też lekceważyć ozdobnej powierzchności, ponieważ towar ładnie się przedstawiający, zawsze łatwiej i prędzej znajdzie nabywców. Przedewszystkiem, dotyczy to towaru pierwszego gatunku, wyborowych owoców stołowych. Owoce powinny być pojedyńczo obwinięte w miękki, czysty, t. zw. jedwabny papier i ściśle upakowane, tak, aby się wcale trząść nie mogły, bo gdy tylko leżą nieco luźniej, uderzają się o siebie i dostają odgnieceń. Puste miejsca pomiędzy pojedyńczemi sztukami, wypełniają się wiórkami papierowymi, albo delikatną wełną drzewną; na dno i pod pokrywkę daje się warstwa takiegoż materjału. Kosz, czy paka, powinny być napełnione aż do wierzchu. Inne stołowe owoce pakują się do skrzynek, lub beczek następującym sposobem: skrzynka, lub beczka wykłada się na dnie i z boków czystym miękkim papierem, owoce zaś układają ściśle warstwami pilnując, aby ogonki nie kaleczyły owoców pod spodem, lub na wierzchu leżących. Układa się je tak ostrożnie warstwa za warstwą, nie nasypując z góry, tak, aby wierzchnia warstwa nieco wystawała ponad krawędzie skrzynki, lub beczki. Wstrząsanie skrzynką w celu równiejszego ułożenia się owoców, należy wykonywać bardzo ostrożnie. Gdy się już skrzynka, lub beczka napełni, wierzchnia warstwa owoców nakrywa się papierem i wieko przybija się gwoździami. Wskutek tego, spodnia i wierzchnia warstwa nieco ucierpią, ale środkowe mocno się uleżą i będą zupełnie zdrowe. Pakowanie do koszów służy dla mniejszych, do skrzyń, lub beczek dla większych odległości. W pakowaniu gorszych gatunków owocowych, przeznaczonych na jabłecznik, lub powidła, nie potrzeba zachowywać takich środków ostrożności. Zwykle przesełają je w otwartych koszach, lub skrzyniach.

Jak można mieć kwaśną kapustę w 24 godzinach po zerwaniu? Szatkuje się tyle kapusty, ile na drugi dzień potrzeba, miesza się ze solą i koprem i wkłada w naczynie drewniane, poczem dolewa się octu winnego tyle, żeby cała powierzchnia była polaną i wreszcie przydusza się znacznym ciężarem. Drugiego dnia można kapustę gotować; tak przyrządzona, niczem się nie różni od kwaszonej.

Odpowiedzi od Red. i Adm.

Pan J. S. w I. Wiersz: „Wiosna, lato, zima“ nie będzie drukowany — może co prozą? —

X. X. X. Gruszki na wierzbie należą również do tegoczesnych owoców — nie umieścimy.

Lulu. Znowu poszło lulu.

Pan Ra. w D. Prosimy przysłać.

Nieposłuszna córeczka. „A więc nie radźcie, lecz zaprowadźcie ład u siebie wprzód“ — tak śpiewają w operetce — niech pani z tego morał wyciągnie.

Pan Prenumerator w Ameryce. Tamtych pism już nie mamy na składzie.

Żołnierz podczas pokoju. W Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, a tembardziej we Lwowie.

Pan L. w Chicago. Wysłaliśmy.

Kolega z Paryża. Owszem, z największą chęcią — ale musimy wprzód przeczytać.

Autorom wierszy: „Linolineum“, „Zimowe wieczory“, „Złodzieje, nie złodzieje“, „Woskowe figury“ — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Za Komitet redakcyjny i wydawniczy: Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **M. Dzikowski-Chamski.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.